

Janusz S. Gruchała

Uniwersytet Jagielloński

Edytorstwo – wiedza i umiejętność

Abstract

Editing – a knowledge and a skill

The first part of the article discusses the popularity of editing courses at Polish universities and colleges in the last several years; it focuses on different fields of studies, e.g. law, history, librarianship, or Polish studies. Unfortunately, these courses are often limited to basic editor's skills; the author expresses an opinion that, if they are not accompanied by advanced studies on literature and language, the professional success of the graduates cannot be guaranteed.

The second part is devoted to the problems of textual criticism and scholarly editing in Poland nowadays. The author discusses the latest editions of important Polish writers and the most urgent needs in this domain. Another topic touched upon are the transcription rules of old Polish texts. The last part presents and discusses perspectives of the electronic edition: it may attain a high level of attractiveness and value if it becomes something more than just an image of the printed edition on the screen, something that cannot be simply printed out.

Słowa kluczowe: edytorstwo jako specjalność, edytorstwo naukowe w Polsce, edycja elektroniczna

Keywords: editing as specialisation, scholarly editing in Poland, electronic edition

W ofercie dydaktycznej wyższych uczelni można było obserwować w ostatnich kilkunastu latach interesujące zjawisko: wydziały i instytuty humanistyczne włączały do swych programów różnie nazywane specjalności lub specjalizacje edytorskie (ostatnio nazywane modnie „modułami”). Mogą je wybierać zarówno studenci filologii, jak i przyszli historycy, prawnicy czy bibliotekoznawcy. Rzecz jasna, większość tych ofert na pierwszy rzut oka

ujawnia swą słabość, zwłaszcza gdy są to propozycje studiów podyplomowych (płatnych na wszystkich uczelniach). Jeśli oferuje się w ciągu dwóch semestrów uzyskanie kwalifikacji redaktora każdemu, kto ukończył jakiegokolwiek studia, to wzbudza się płonne nadzieje: bez obycia z dobrymi tekstami czytanyymi w dużych ilościach, bez kultury języka zdobywanej nie podczas dwudziestogodzinnych warsztatów, lecz przez lata solidnego kształcenia humanistyczno-literackiego – redaktor nie poradzi sobie nawet ze zwykłą adiuścacją językową tekstu. Dodajmy, że niektóre wydziały obiecują w tym krótkim czasie również zdobycie kwalifikacji w zakresie edytorstwa naukowego, co trudno skomentować inaczej niż jako przejaw nadmiernego zaufania do własnej skuteczności dydaktycznej.

Edytorstwo musi być jednak wielką pokusą, skoro proponują je w swych programach nie tylko duże uniwersytety, ale również szkoły niepubliczne (choćby przysłowiowe Wyższe Szkoły Zarządzania, Administracji, Politologii, Informatyki Stosowanej i Wszelkich Innych Nauk), a także instytuty PAN.

Pozostajmy w niniejszym wywodzie przy ofertach poważnych, czyli adresowanych do studentów stacjonarnych, i to na kierunkach humanistycznych uczelni, które mogą zaproponować coś więcej niż zajęcia z grafiką komputerową i redaktorem niewielkiego wydawnictwa. Nawet przy takim ograniczeniu wypada pytać o powody popularności edytorstwa, zwłaszcza że żyjemy w czasach, które mają podobno ujrzeć śmierć książki papierowej i tradycyjnego wydawnictwa. Odpowiedź nie jest oczywista. Z jednej strony, można spojrzeć na rzecz optymistycznie: chcemy zintensyfikować wydawanie źródeł, dlatego kształcimy edytorów (to by przemawiało za specjalnościami edytorskimi na historii czy prawie); troszczymy się o dorobek literatury polskiej, toteż przygotowujemy jej wydawców (na polonistyce). Inny możliwy argument brzmiałby: solidnie przygotowujemy absolwentów do pracy, dajemy im do ręki zawód; wobec mizernih perspektyw zatrudnienia w szkołach (wydziały humanistyczne tradycyjnie nastawione bywały na kształcenie nauczycieli) umiejętność edytorskie wydawać się mogą jakąś alternatywą.

Rzeczywistość jest jednak zapewne bardziej prozaiczna: specjalność edytorska stanowi często próbę przyciągnięcia kandydatów na studia, co w czasach zmniejszającej się liczby maturzystów stało się troską uczelnianych władz. Jako nowość, edytorstwo niewątpliwie przez jakiś czas miało siłę magnetyczną, a sukces uczelni, które odnotowały kilkunastu kandydatów na jedno miejsce (było tak na przykład na polonistyce UJ), mógł rozpać wyobraźnię każdego dziekana czy rektora. Można więc podejrzewać, że edytorstwo nie wszędzie włączano do oferty dydaktycznej ze szczerą miłości do niego samego, nie wszędzie też za decyzją o powołaniu tej specjalności stały możliwości kadrowe i programowe (nie wspominając o sprzętowych) wydziału lub instytutu. Musiało się w tej sytuacji pojawić „kopiowanie” (mówiąc nieco bardziej dosadnie: kradzież) programów kształcenia, zarówno całych koncepcji, jak i sylabusów poszczególnych kursów. Bywało też tak (i nie jest to bynajmniej sytuacja zasługująca na potępienie), że edytorstwo znajdowało początkowo

oparcie w jednym pracowniku naukowym z niewielkim dorobkiem w tej dziedzinie lub tylko mającym ochotę zająć się tym rzemiosłem, a przy nim dopiero gromadzili się adepci, którzy z czasem tworzyli zespół mogący poważnie podjąć kształcenie edytorów.

Charakterystyczne, że rozumie się je na ogół jako przysposobienie do roli redaktora, ze szczególnym uwzględnieniem obróbki tekstu, zarówno w sensie tradycyjnym (adiustacja językowa, korekta, redakcja techniczna), jak i – w różnym stopniu w zależności od wydziału czy instytutu – składu, projektowania publikacji i grafiki komputerowej. Wydaje się, że takie szkolenie zaspokaja potrzeby i bywa ważkim argumentem dla kandydatów na studia oraz dla organów kontrolujących (PKA!), w sytuacji gdy podkreśla się praktyczny wymiar edukacji, także na poziomie wyższym (cokolwiek o owym praktycyzmie myślą tradycyjnie usposobieni ludzie uniwersytetu). Niezbyt trudne jest też w dzisiejszych czasach stworzenie warunków do takiego kształcenia: zakup komputerów i legalnego oprogramowania wprawdzie trochę kosztuje, zatrudnienie specjalistów także, kłopoty może sprawiać zachowanie elementarnych standardów jakości (nie więcej niż dwie ręce przy jednej klawiaturze, dostępność pracowni komputerowej dla samodzielnych ćwiczeń studentów, choćby krótka wizyta w drukarni i praktyka w wydawnictwie) – ale gdy te elementy uda się zapewnić, wszyscy mogą być zadowoleni.

Niepokojąca pozostaje refleksja, czy oferta ograniczająca się do kształcenia redaktorów jest godna uczelni wyższej, zwłaszcza gdy nie towarzyszy ono jakiemuś solidnemu programowi studiów, na przykład filologicznych czy historycznych. Czy jeśli się owe umiejętności praktyczne traktuje jako samostne i wystarczające (tak dzieje się np. na studiach podyplomowych dla każdego, kto zapłaci), nie stanowią one raczej materii dla kursów prowadzonych przez organizacje wydawców czy duże wydawnictwa lub dla szkół zawodowych (niechby i wyższych...)? Uniwersytety chciałyby się jednak widzieć jako instytucje, które nie ograniczają się do kształcenia zawodowego, lecz dają możliwość zdobywania wiedzy i umiejętności w nieco szerszym horyzoncie, uwzględniającym choćby refleksję nad uwarunkowaniami historycznymi i socjologiczno-ekonomicznymi ruchu wydawniczego, nad historią i estetyką książki, wreszcie – nad potraktowanym poważnie edytorstwem naukowym. I tak bywa zwykle – jak się wydaje – na tych uniwersytetach, które od dłuższego czasu wprowadzają do swego kształcenia oparte na solidnych programach studia edytorskie¹. Stosowany od pewnego czasu na naszych uczelniach trzystopniowy „boloński” model studiowania skłania niekiedy do przypisania stopniowi pierwszemu szkolenia „redaktorskiego” (bardziej praktycznego), a drugiemu – bardziej zaawansowanego wdrażania studentów w tajniki teks-

¹ Zob. uwagi, które przed laty sformułował S. Grzeszczuk, *Bibliografia i edytorstwo w programach uniwersyteckich i pozauniwersyteckich* [w:] *Wiedza o literaturze i edukacja. Księga referatów Zjazdu Polonistów, Warszawa 1995*, red. T. Michałowska, Z. Goliński, Z. Jarosiński, Warszawa 1996, s. 771–788; por. też J. Gruchała, *Uwagi o akademickim kształceniu edytorów*, „Konspekt” 2004, nr 19, s. 39–41.

tologii i edytorstwa naukowego; tak jest na znanej mi specjalności edytorskiej na UJ. Doceniając wszelkie możliwe zalety takiego podziału, widzieć też trzeba jego niedogodności: do bólu pragmatyczni studenci XXI wieku skłonni są nierzadko poprzestawać na stopniu pierwszym, który ciągle jeszcze daje im atuty w poszukiwaniu pracy, magisterskie studia wolą natomiast odbywać na innych, mniej absorbujących i łatwiejszych kierunkach czy specjalnościach.

Satysfakcja, jaką daje kształcenie edytorów naukowych, wynika ze szczególnego charakteru i wyjątkowej intensywności tych zajęć. Tu w sposób oczywisty sprawdza się przede wszystkim tradycyjny i ciągle wartościowy model wprowadzania czeladnika w tajniki rzemiosła, tu student ma możliwość obcowania z materiałami oryginalnymi, może też mieć radość z wyników swej pracy – elitarnych umiejętności widocznych w edycji naukowej wieńczącej kurs akademicki. Takie zadania przyciągają studentów poważnie traktujących swe kształcenie, szukających na uniwersytecie intelektualnej przygody. Satysfakcja jest zresztą obopólna, jako że również pracownik naukowy prowadzący takie ćwiczenia czy seminaria – choć musi w ich przygotowania włożyć niepomrotnie więcej wysiłku niż w przypadku innych kursów – ma dzięki nim szansę uchronienia się przed wypaleniem zawodowym i dydaktyczną rutyną.

Czy można dać gwarancję, że absolwent magisterskich studiów edytorskich jest przygotowany do samodzielnej pracy w charakterze wydawcy naukowego? Oczywiście nie; przecież doświadczenie konieczne w tym rzemiośle zdobywać trzeba znacznie dłużej niż czas spędzony na uczelni. W dodatku studenci edytorstwa kształceni byli – jak wszyscy absolwenci szkoły średniej w ostatnich latach – w systemie, który coraz mniej ceni erudycję, dogłębną analizę źródeł, opanowanie języków innych niż angielski. Niestety, coraz częściej można takie wnioski formułować również wobec osób legitymujących się dyplomami licencjackimi bardziej i mniej modnych kierunków. Wobec takiego stanu rzeczy pozostaje zachęcanie słuchaczy specjalności edytorskiej do podejmowania trudnych zadań, zaszczepianie im nawyku solidnej pracy i obiecywanie satysfakcji, którą to przynosi. Nie idealizując sytuacji obecnej, warto podkreślić, że z perspektywy Gołębnika, czyli Wydziału Polonistyki UJ, ciągle jeszcze studenci edytorstwa są w znacznej części skłonni odpowiadać na takie zachęty pozytywnie, a niektórzy z nich – bywa – niepokoją swych nauczycieli pomysłami i planami wykraczającymi poza te wymagania.

Poświęciłem kształceniu edytorskiemu na uczelniach wyższych miejsce w pierwszej części niniejszego wywodu nie tylko dlatego, że dane mi było i jest uczestniczyć w kształtowaniu specjalności edytorskiej na polonistyce na Uniwersytecie Jagiellońskim. Wydaje się, że doświadczenia dydaktyczne mogą wpływać na ocenę sytuacji ogólnej choćby z tego powodu, iż większość wydawców naukowych łączy działalność badawczą i edytorską z nauczaniem uniwersyteckim.

Dyskusja nad stanem edytorstwa naukowego w Polsce trwa już od dłuższego czasu. Oczywiście, pojawiały się i będą się pojawiać edycje lepsze i gorsze, wykonane kompetentnie i po amatorsku. Te pierwsze należy chwalić, drugim

wytykać błędy i piętnować wydawców partaczy. Chodzi jednak o ogólniejszy obraz naszej dziedziny.

Na Zjeździe Polonistów w roku 1995 Zbigniew Goliński postawił diagnozę bardzo pesymistyczną:

1. Rozpoznanie stanu aktualnego opracowań naukowych klasyki polskiej jest niepomysłne [...]. 2. Bieżąca działalność edytorska w środowisku polonistyki profesjonalnej nie rokuje poprawy [...]. 3. Rozpoznanie środków zaradczych bieżących w zakresie kształcenia edytorskiego – bez widoków poprawy, w zakresie warunków wydawniczych – bardzo niepomysłne².

Nieco bardziej optymistyczny obraz zarysował Adam Karpiński niemal dziesięć lat później³. Wśród jaśniejszych punktów mógł wskazać założoną przez siebie Bibliotekę Pisarzy Staropolskich (wówczas liczącą 29 tomów, dziś 40), która niewątpliwie stała się – jeśli idzie o teksty XVI–XVIII wieku – nie tylko okazją do opublikowania dobrych edycji, ale też uczyniła prace edytorskie atrakcyjnymi dla grupy młodszych badaczy. Co więcej, upowszechniła ona wzorzec wydania opartego na ustalonych zasadach, udostępniającego czytelnikom rezultaty krytyki tekstu i niezbędny aparat krytyczny, obudowującego tekst elementami niezbędnymi dla jego zrozumienia, takimi jak ikonografia, dokumenty, inne utwory komentujące wydawany tekst. Atrakcyjność tego wzorca widoczna jest także w powstałych później seriach wydawniczych, przede wszystkim w Bibliotece Pisarzy Polskiego Oświecenia – „klonie” BPS.

Inne pozytywne zjawiska, które odnotował Karpiński w 2004 roku, to edycje pism autorów, niektóre zakończone, inne w toku, jeszcze inne właśnie rozpoczynane (Mickiewicz, Norwid, Krasicki, Kasprowicz), a także możliwość przyznawania stopni i tytułów naukowych za prace edytorskie (w tej ostatniej sprawie on sam *magna pars fuit*).

Obecna sytuacja w naszym edytorstwie naukowym jest nadal niejednoznaczna. Nie brak powodów do rytualnych już narzekań: nadal brak edycji wielu ważnych autorów, co więcej, rozpoczęte niegdyś nie mają – z różnych powodów – dalszego ciągu (Kochanowski, Krasicki). Lista autorów i dzieł czekających na wydanie naukowe bez nadziei rychłej realizacji jest nadal długa; wydaje się, że taki stan będzie jeszcze przez lata podniętą dla malkontentów.

Nie postąpiły też prace nad zasadami edytorskimi, brak zdecydowanych inicjatyw w tym zakresie. Adam Karpiński przedstawił obiecującą koncepcję zasad postępowania w odniesieniu do literatury XVII wieku⁴, ale nie zdołał jej opracować; to wielka szkoda, ponieważ byłaby niewątpliwie dobrym punktem

² Z. Goliński, *Edytorstwo naukowe tekstów literackich. Stan obecny i potrzeby* [w:] *Wiedza o literaturze i edukacja*, s. 817–818.

³ A. Karpiński, *Stan i zadania tekstologii i edytorstwa* [w:] *Polonistyka w przebudowie. Literaturoznawstwo – Wiedza o języku – Wiedza o kulturze – Edukacja. Zjazd Polonistów Kraków, 22–25 września 2004*, red. M. Czermińska i in., t. 2, Kraków 2005, s. 702–716.

⁴ A. Karpiński, *op.cit.*, s. 707–712.

wyjścia do dyskusji ogólniejszej, którą postulował Karpiński, a wielu edytorów praktyków powitałoby z radością. Zapewne opracowanie jednoznacznej instrukcji wydawniczej jest z wielu względów niemożliwe, a nawet być może niewskazane (rzemiosło edytorskie to nie służba wojskowa ani kancelaria prawnicza), ale o rozmowie na temat zasad warto myśleć. Z pewnością nie służy rozwojowi sytuacja, w której uznaje się, bez podejmowania dyskusji, jeden model za uniwersalny i właściwie obowiązkowy, a tak w tej chwili jest zwłaszcza w edytorstwie literatury dawnej, w którym przyjmuje się wzorzec Biblioteki Pisarzy Staropolskich właściwie bezrefleksyjnie. Trzeba przecież podjąć dyskusję na temat poglądu sformułowanego niegdyś wyraźnie przez Z. Golińskiego, a podtrzymanego jak dogmat przez A. Karpińskiego, że mianowicie kształt tekstu (czyli zasady jego transkrypcji) ma być taki sam bez względu na rodzaj edycji i wpisano w nią odbiorcę⁵. Rozumiejąc powody, dla których edytorzy buntują się przeciw językoznawczej akrybii i słownikowym komentarzom, warto może rozmawiać o takim ukształtowaniu transkrypcji, które nie stanie się przeszkodą w odbiorze utworu literackiego jako dzieła sztuki, ale też nie będzie sprawiać wrażenia, że autorzy dawni pisali właściwie tak samo jak my dzisiaj, a pojęcie archaizmu dotyczy tylko realiów przedstawionych w utworze i słowotwórstwa.

Wśród pozytywnych zjawisk ostatnich lat wymienić można postępujące prace nad edycjami zbiorowymi (Cyprian Norwid), a także podjęcie nowych tego rodzaju wydań (Juliusz Słowacki, Józef Czechowicz, Piotr Skarga). Opublikowano też wiele utworów w starych i nowych seriach wydawniczych; dwie z nich (Inedita pod red. R. Mazurkiewicza i Polonika pod red. D. Chemperka) pojawiły się w wielkim przedsięwzięciu badawczym, jakim był zakończony już grant „Humanizm. Idee, nurty i paradygmaty humanistyczne w kulturze polskiej”, kierowany przez Alinę Nowicką-Jeżową. Nawet jeśli dobór dzieł publikowanych w ten sposób bywa przypadkowy i zależy od upodobań oraz zainteresowań poszczególnych edytorów, niewątpliwie można mówić o ożywieniu działalności na tym polu w ostatniej dekadzie. Od niemal dwudziestu już lat obejmuje ono w głównej mierze edytorstwo utworów staropolskich, w czym największą zasługę przypisać trzeba Adamowi Karpińskiemu.

Nowością, z którą w ostatnim czasie spotykają się badacze pragnący realizować swe plany edytorskie, są zmiany zachodzące w finansowaniu przedsięwzięć naukowych (powstanie Narodowego Centrum Nauki, większe nakłady na badania). Wypada mieć nadzieję, że utrzyma się tendencja przyznawania grantów według transparentnych zasad, że proces recenzowania projektów nie wpadnie w stare koleiny, a osoby uczestniczące w procesie rozdzielania pieniędzy zapomną o interesach swoich, swych uczniów i instytucji, z których się wywodzą. Oczywiście, głównym zmartwieniem powinny być wielkość i dostępność funduszy na prace edytorskie, żmudne i wymagające zatrudnienia kompetentnych osób. Duże nadzieje wiąże się w środowisku edytorów z Narodowym Programem Rozwoju Humanistyki, powstałym w Minister-

⁵ Z. Goliński, *op.cit.*, s. 815; A. Karpiński, *op.cit.*, s. 709.

stwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego, który z zasady ma wspierać takie właśnie długofalowe zamysły. Czy uda się dzięki niemu reanimować edycję *Dzieł wszystkich* Jana Kochanowskiego, od niemal dwudziestu już lat stanowiącą wyrzut sumienia dla polskiego edytorstwa – to zależy będzie nie tylko od pieniędzy, ale przede wszystkim chyba od „czynnika ludzkiego”. Czy NPRH pozwoli podjąć inne niezbędne wydania klasyków naszej literatury? Odpowiedź poznamy za kilka lat.

Zdaje się, że środowisko edytorów jest dość dobrze przygotowane na sytuację, w której nie będzie zatrudnienia etatowego aż do zasłużonej emerytury, lecz opłacane przez określony czas konkretne zamówienie państwowego grantodawcy. Trzeba tylko mieć nadzieję, że dostęp do finansowania otrzymają nie najbardziej operatywni lub postawieni w odpowiednim miejscu wnioskodawcy, lecz ci, którzy najlepiej potrafią zrealizować zadanie. Niestety, obserwacje dotychczasowe, mimo iż zasadniczo napawają optymizmem, pozwalają też wskazać przedsięwzięcia, którym nawet obfite finansowanie nie zapewniło wymaganej jakości. Wydaje się, że sam mechanizm realizowania i rozliczania grantów badawczych może prowadzić do akceptowania bylejakości w imię przestrzegania procedur, nad którymi czuwają księgowi i koordynatorzy, a nie osoby merytorycznie przygotowane.

W związku z tym marzyłoby się, żeby jakaś Rada Mędrców (i to w miarę możliwości mędrców niezaangażowanych) opracowała listę dzieł czy autorów, których wydanie państwo by zamówiło i sfinansowało jako niezbędne dla ochrony i udostępnienia dziedzictwa narodowego. Mówiąc o Radzie Mędrców, nie ironizuję, lecz nawiązuję do rozwiązań stosowanych gdzie indziej: gdy budowano wielkie repozytorium dziedzictwa naszego kontynentu znane jako Europeana, powołano Comité des Sages, które to grono w roku 2011 przedstawiło raport pt. *The New Renaissance*, będący w istocie planem działań długofalowych, wpływającym także na projekt finansowania. Przy planowaniu długoterminowych przedsięwzięć w dziedzinie edytorstwa dzieł literatury polskiej można z tych doświadczeń skorzystać: duży kraj z bogatą kulturą powinien być zdolny do sensownego podjęcia zadań w tym zakresie.

I jeszcze kilka refleksji na temat sposobu publikowania edycji. Stoimy dziś przed możliwością do niedawna nieznaną, a mianowicie wydania w formie elektronicznej. Nadzieje z tym związane są różnorakie: są tacy, którym podobna się ochrona lasów (skoro niepotrzebny jest papier), inni widzą w edycji elektronicznej drogę do bezpłatnego korzystania z dóbr kultury. Te względy są dla edytorów naukowych właściwie bez znaczenia. Mogłoby się wydawać, że zwłaszcza dla wielkich edycji, które musiałyby liczyć kilkanaście lub kilkadziesiąt tomów, uniknięcie wydatków na wydanie „papierowe” może być zbawienne. Warto jednak wziąć pod uwagę charakter edycji elektronicznej, szczególnie tej funkcjonującej w sieci internetowej: zmienność standardów zapisu i urządzeń odczytujących, niepewność co do trwałości zasobów przechowywanych w sieci – każą docenić papier jako sposób utrwalania treści wypróbowany przez stulecia.

Sąd powyższy odnosi się w szczególności do tych edycji elektronicznych, które są dziś w sieci dostępne. To albo bardzo pożyteczne skany dawnych przekazów, rzeczywiście umożliwiające każdemu obcowanie z zabytkami, do których nigdy nie uzyskalby dostępu (ale skany nie są edycjami *sensu stricto*), albo też teksty dostępne w formie najczęściej przeniesionej z edycji tradycyjnej i dające się wydrukować na papierze. W tym drugim wypadku forma elektroniczna jest tylko pozornie nowocześniejsza niż zwykły druk: dopóki jedyną różnicą między tekstem „elektronicznym” a „tradycyjnym” jest to, że jeden widzimy na monitorze, a drugi na kartce papierowej, dopóki edycję elektroniczną można bez strat wydrukować – nie widać powodu, dla którego należałoby się ekscytować możliwościami komputera i sieci. Wystarczy przeglądnąć kilka bibliotek z polskimi tekstami literackimi w internecie, by przekonać się, że stanowią one zbiór wtórny wobec wydań tradycyjnych, a w dodatku – jak to w sieci – są częścią chaotycznie urządzonego monstrualnego świata informacji pomieszanej z rozrywką i reklamą.

Większy sens ma myślenie o edycji wyzyskującej mechanizm hipertekstu, zwłaszcza w formie tzw. *hypermedia research archive*⁶. Pozwala ona czytelnikowi obcować z wszystkimi przekazami w postaci dobrych fotografii, z komentarzem wzbogaconym o dźwięk, kolor bez ograniczeń i ruchome obrazy, pozwala też w atrakcyjny sposób pokazać (na przykład za pomocą animacji) kształtowanie się tekstu w procesie jego transmisji. Wszystko to wymaga od edytora otwartości na nowe techniki i na inne niż w tradycyjnym wydaniu traktowanie swej roli. W zamian zyskuje nowe narzędzie do pokazania starych problemów i własnych osiągnięć. Niestety, takie edycje to u nas na razie (oby jak najkrócej) sprawa przyszłości.

⁶ Pisałem o tym przed kilku laty; zob. J. Gruchała, *Nowe możliwości w edytorstwie literatury dawnej* [w:] *Polonistyka w przebudowie*, t. 1, s. 434–444. Zob. też J. Gruchała, *Wirtualny wydawca i użytkownik edycji elektronicznej* [w:] *Europejski kanon literacki*, red. E. Wichrowska, Warszawa 2012, s. 282–288.